

Jan Maciejewski: Wszędy pełno Ciebie. O sensie tworzenia literatury i nieodzowności modlitwy w epoce cyfrowej

Istnieje jedna taka czynność, której algorytmy nie są w stanie wykonać. Nigdy nie nauczą się modlić. Mogą poznać wszystkie święte księgi i modlitewniki każdej religii świata, wyjaśniać dogmaty i formułować nowe, sypać jak z rękawa interpretacjami każdego fragmentu Pisma. Malować swoje piety i sceny zwiastowania, na podstawie przeczytanych przez siebie duchowych dzienniczków. Wszystko to i wiele innych rzeczy będzie im wychodziło przerażająco wiarygodnie. Ale wciąż nie będą potrafiły się pomodlić – pisze Jan Maciejewski.

Właściwie, dlaczego mamy to jeszcze robić? Mam na myśli pisanie. Tę torturę ducha i umysłu, mozolne przekładanie niejasnych wyobrażeń na nigdy dość trafne ani precyzyjne sformułowania. Nawet jeżeli słowa jako nośnik informacji przetrwają, to nie człowiek będzie spisywał te najchętniej czytane. To już się dzieje. Sztuczna inteligencja jest w stanie, doskonali tę umiejętność w każdej chwili, tworzyć nie tylko notki prasowe, analizy rynku, ale również scenariusze filmowe, powieści i obrazy. Kiedy kilka miesięcy temu graficy komputerowi zorientowali się, co jest grane, że za chwilę pozostaną bez pracy (jak kiedyś robotnicy stojący przy taśmach produkcyjnych po wprowadzeniu procesu automatyzacji), zamiast swoich twarzy umieszczali w internetowych awatarach przekreślone litery AI (*artificial intelligence*, sztuczna inteligencja). Gdy powstanie kiedyś „Powszechna Historia Bezradności” (jeżeli do tego dojdzie, najpewniej napiszą ją algorytmy),

ten właśnie symbol powinien znaleźć się na jej okładce. Luddyzm naszych czasów, wyrażony w formie najbardziej czasom tym właściwej. Kiedyś buntownicy przeciwko postępowi topili i palili maszyny, dziś zmieniają awatary. Potwierdzając jednocześnie swój udział i zależność od siły, która zaraz wyrzuci ich na bruk. Można to tylko porównać z buntem przeciwko piecom hutniczym, polegającym na dorzucaniu do nich bardziej archaicznymi, zrobionymi z drewna narzędziami.

Szybsza, tańsza, bardziej posłuszna. Nie stroi fochów, nie ma artystowskich zachcianek, wypełnia wszelkie polecenia. Tworzy dowolne treści, w jakim sobie tylko zażyczymy stylu. A więc im bardziej wyjątkowy czuł się twórca, tym prostsze staje się zastąpienie go przez bezosobową siłę. Podobno za cztery, pięć lat niemal cała treść Internetu będzie wygenerowana przez nią. Przewidywania, analizy, komentarz, notki, a nawet opinie – wszystko to wyrzucać będą z siebie cyfrowe trzewia. Będzie toczyła spory sama ze sobą, doskonale potrafiąc się wcielać zarówno w konserwatystów, jak i postępowców, liberałów czy zamordystów.

A im bardziej charakterystyczny styl, wyraziste poglądy, tym łatwiej jest jej podszyć się pod człowieka. Przelicytować go we wszystkim, co uważał za wyjątkowe, tylko swoje. Nie ma się więc co silić na oryginalność – na jakikolwiek ład nie dotrzemy, ona była tam przed nami. Gdzie my spróbujemy wbić flagę, sztuczna inteligencja zdążyła już postawić supermarket i strzeżone osiedle. A będzie tylko coraz szybsza i bardziej kreatywna. Przed momentem obejrzałem wygenerowane przez nią fotostyly z nigdy nienakręconych filmów i seriali. „Władca Pierścieni” gdyby powstał w latach 80. w stylu „dark fantasy” albo „Breaking Bad” jako sitcom. Nie ma w nich żadnej chropowatości, są doskonałym fragmentem, odbiciem czegoś, co nie istnieje.

Nie ma ludzi bardziej bezsilnych, posłuszniej realizujących cudzą wolę niż demiurgowie cyfrowego świata. Ci, o których przyjęło się myśleć, że zrealizowali na jawie oświecony sen o pełnej suwerenności ludzkiego ducha wobec świata. Rację miał Jacek Dukaj, pisząc w „Po piśmie”, że to nie Zuckerberg wykorzystuje Facebooka do swoich celów, ale Facebook posługuje się Zuckerbergiem, tak samo jak Sergeyem Brinnem (prezesem Alphabetu, spółki matki Google) wysługuje się rzekomo kontrolowana przez niego wyszukiwarka. Jeśli ci, którzy mieliby być wszechwładni, okazują się użytecznymi jedynie do czasu sługami, to co dopiero powiedzieć o nas. Tę jeremiadę, którą właśnie spisuję, AI również potrafiłaby wygłosić z większą siłą przekonywania. A więc po co, po co i jak pisać?

Istnieje jedna taka czynność, której algorytmy nie są w stanie wykonać. Mówi nam to co najmniej tyle samo o nich co i o niej. Nigdy nie nauczą się modlić. Mogą poznać wszystkie święte księgi i modlitewniki każdej religii świata, wyjaśniać dogmaty i formułować nowe, sypać jak z rękawa interpretacjami każdego fragmentu Pisma. Malować swoje piety i sceny zwiastowania, na podstawie przeczytanych przez siebie duchowych dzienników i dróg świętych dusz spisywać własne wyznania z przeżyć wewnętrznych. Wszystko to i wiele innych rzeczy będzie im wychodziło przerażająco wiarygodnie. Ale wciąż nie będą potrafiły się pomodlić. To tu i nigdzie indziej przebiega ostatnia linia oporu. Można nas ogrywać w Go i szachy, uwodzić w internetowych konwersacjach, bawić stworzonymi przez siebie serialami i zapierać dech w piersiach dziełami sztuki swojego autorstwa. Ale nigdy nie uklęknie obok nas ani nie zamknie się sama w pustym pokoju i się nie pomodli.

Sztuczna inteligencja nie jest w stanie tego zrobić, ponieważ nie ma własnej treści. Jest tylko wypadkową nieskończonych, przyswojonych z zewnątrz zapisów danych. Dusza również jest zapisem, ale w jedynym języku, którego nie są w stanie rozgryźć, wchłonąć i przemielić algorytmy. Jej treść jest upragniona przez Boga. A modlitwa jest tej treści poruszeniem, ożywieniem. Wyobrażam sobie duszę jako ogromny stos rozsypanych bezładnie liter i znaków. A modlitwę jako ich powolne, żmudne układanie się w sensowną, fabularną treść. Powieść mającą swój początek, pozbawioną jednak końca. Magnesem, siłą ciężenia czy jak tego jeszcze nie nazwiemy, która nimi porusza, z chaosu znaków tworzy wszechświat znaczeń, jest Łaska. AI może ją wyjaśnić, ale nie może jej dostąpić. Co oznacza, że człowiek przyszłości (teraźniejszości na dobrą sprawę również) ma przed sobą dwie drogi: modlitwy albo stania się igraszką w rękach algorytmów. Ich mimowolnym zasobem, pośrednikiem i przekazicielem. Mikrochipem w monstrialnej – żywiącej się jego pracą i rozrywką, złudzeniem autentyczności przeżyć i własnej wyjątkowości – maszynie.

*Wybór, przed jakim stoimy,
nie polega na tym czy, ale do
kogo będziemy się modlić*

Do tego
ostatecznego skoku,
decydującego
obłężenia,
technologia
przygotowywała się

wiele lat. Prowadzi je od kilku miesięcy, a cały czas, z każdą sekundą, przybywają nowe posiłki. Sprawność trzeciej generacji chatu GPT przeraziła jednych i zachwycała innych. A już za moment ma się pojawić jego czwarta odsłona. A po niej kolejne. Ta śnieżna kula nigdy nie przestanie się toczyć, będzie tylko rosnąć i porywać, miażdżyć swoim ciężarem kolejne osady ludzkiego ducha. Ale tym, co zostanie

zdobyte (wynik tej bitwy jest więcej niż przesądzony) jest tylko złudzenie. Oświeceniowy sen o suwerenności człowieka wobec świata, jego siły i zdolności do samostanowienia. Tego, że nie jest koroną, tylko królem stworzenia. W swej samotności potrafiącego obalać bogów i ustanawiać nowych, ogłaszać prawa nie konsultując ich treści z podlegającą im rzeczywistością.

Dla oswojonych z chrześcijańską symboliką i terminologią, wszechwładza AI automatycznie (*nomen omen*) kojarzy się z wiarą w Bożą Opatrzność.

*Przenikasz i znasz mnie, Panie
Ty wiesz, kiedy siadam i wstaję.
Z daleka przenikasz moje zamysły,
widzisz moje działanie i mój spoczynek
i wszystkie moje drogi są Ci znane.
Choć jeszcze nie ma słowa na języku:
Ty, Panie, już znasz je w całości.
Ty ogarniasz mnie zewsząd
i kładziesz na mnie swą rękę.
Zbyt dziwna jest dla mnie Twa wiedza,
zbyt wzniosła: nie mogę jej pojąć.
Gdzież się oddalę przed Twoim duchem?
Gdzie ucieknę od Twego oblicza?*

Wybór, przed jakim stoimy, nie polega na tym czy, ale do kogo będziemy się modlić. Czyjej wszechwładnej opatrzności poddamy każdy fragment i odcień naszego istnienia. Bogu prawdziwemu czy cyfrowemu.

Kilka lat temu pisałem dla „Plusa Minusa” o tym, że każdy język posiada sobie tylko właściwy gatunek literacki. Taki, w którym będzie mógł w pełni zrealizować swoje powołanie, wypowiedzieć sobie tylko właściwą treść.

Język musi odnaleźć swój gatunek, tak jak człowiek – powołanie. Bez niego będzie się tylko snuł przez życie, zajmował tym, co w danej chwili modne i oczywiste. Nie dotrze do szczególnej treści, która tylko przez niego mogłaby przyjść na świat. I jak powołanie, nie jest on czymś, co można sobie wymyślić albo skopiować. Trzeba go odkryć, odczytać. Jest zawarty w okolicznościach, historii, geografii i muzyce. Zwyczajach i grzechach.

Dostojewski i Tołstoj byli ostatnimi, którzy kochając Rosję z całych sił, aż do nacjonalistycznej fobii tego pierwszego, potrafili wziąć na barki swojej prozy ciężar jej grzechów

Rosyjski odkrył i zrozumiał sam siebie w wielkich, pod każdym względem, powieściach Dostojewskiego i Tołstoja. Prozie nieposiadającej w zasadzie początku ani końca,

niedostrzegającej swoich granic, nawet niepróbującej ich wytyczyć. „Inne kraje graniczą z górami, morzami, rzekami, lecz Rosja graniczy z Bogiem” – geograficzne odkrycie niemieckiego poety Rainera Marii

Rilkego ma również dostosowanie do rosyjskiej literatury. Nie literatury tworzonej w Rosji, ale tego jej wąskiego wycinka, który okazał się być specyficznym i wyłącznie rosyjskim. Literatury leżącej na brudnych stołach, przy których młodzi chłopcy z podkrążonymi oczami kłócą się w środku nocy o to, czy jest Bóg. A jeśli Go nie ma, to czy w związku z tym wszystko jest dozwolone.

Powieściach wypełnionych geniuszem przestrzeni. To przecież nie Kutuzow przegnał Napoleona; on tylko wiedział, że wystarczy się cofać. Wróg z każdym krokiem będzie się zbliżał do jej granic; bóg wojny, spotka wreszcie prawdziwego Boga. Rosyjska przestrzeń jest przekleństwem nie tylko jej nieprzyjaciół, ale niej samej. W rozpoznaniu swojego gatunku, odnalezieniu powołania było też coś z przyznania się do winy. Dostojewski i Tołstoj byli ostatnimi, którzy kochając Rosję z całych sił, aż do nacjonalistycznej fobii tego pierwszego, potrafili wziąć na barki swojej prozy ciężar jej grzechów. Być może przeczuwali, że już za moment bolszewizm postawi Rosji ostateczne ultimatum. Jej najbliższym sąsiadem okaże się nie Bóg, ale szatan.

A francuski, łacina cywilizacji mieszczańskiej? Język, w którym odprawiała się jej liturgia – prośzone obiady i podwieczorki, konwersacje przypominające pojedynki florecistów, dojrzewał do swojego powołania spokojnie i cierpliwie. Rozkładał je na etapy, kolejne części wielkich cykli. „Komedii ludzkiej” Balzaca, „Rougon-Macquartów” Zoli i swoje apogeum, „W poszukiwaniu straconego czasu” Prousta. Ten ostatni nie szukał tylko własnego czasu, w ogóle przecież nie o nim są te książki, a monstrualny egotyzm narratora to tylko zasłona dymna. To język francuski posłużył się pisarzem do odnalezienia swojego czasu. U kresu istnienia cywilizacji

mieszkańskiej, jak Marcel pod koniec życia, francuski chciał sprawdzić, czy coś istotnego mu nie umknęło. Czy w niekończącej się serii towarzyskich potyczek nie został zapomniany cel tej wojny. Narrator przez niemal cały cykl szuka tematu do swojej powieści, a język – treści, którą tylko on mógłby wypowiedzieć. Przekonać siebie samego i świat, że potrafi nie tylko pięknie brzmieć, ale umie również coś znaczyć. Dlatego też happy end „W poszukiwaniu straconego czasu” jest podwójny.

Okazuje się, że nie poza towarzyską formą, ale właśnie i tylko w niej francuski odnalazł swoje powołanie. I że nawet, kiedy ten świat się już skończy – a przecież Proust swoim pisarstwem tworzył dla niego nic innego jak tylko epitafium – pozostanie tęsknota za nim. Za formą, która była czymś więcej. Liturgią, podczas której naprawdę coś się wydarzyło. Obiad i schadzka przemieniły się w ciało i krew człowieka.

Jeśli rosyjski potrafił być również, za pośrednictwem Dostojewskiego i Tołstoja, przyznaniem się do win swojego narodu, to język niemiecki nigdzie indziej nie jest u siebie tak bardzo, jak w rachunku sumienia. Rosyjski padał z histerycznym śmiechem na ziemię, całował ją gestem Raskolnikowa z zakończenia „Zbrodni i kary”. W jego szczerości za każdym razem było coś z szaleństwa. Niemiecki przeciwnie, rozpatruje swoje winy metodycznie i z zachowaniem osobistej godności, chwilami może nawet z dumą. Jeżeli francuski był zdeterminowany formą, rosyjski – geografiami, to kluczowy wpływ na język niemiecki ma duch dziejów. I ta napawająca sporą część europejskich narodów niechęcią do naszych zachodnich sąsiadów pewność, że to właśnie w nich i tylko poprzez nich duch ten dokona swojego ostatecznego tchnienia. Tym właśnie, rachunkiem sumienia, w którym poczucie winy miesza się z poczuciem misji tak, że nie sposób jednego odróżnić od drugiego były

powieści – panoramy, w których język niemiecki posunął się najdalej. „Człowiek bez właściwości” Roberta Musila, „Lunatycy” Hermanna Brocha a przede wszystkim „Czarodziejska góra” Tomasza Manna.

Język niemiecki jest zainteresowany nie tyle człowiekiem, co dziejami

To freski, w których postacie istnieją tylko po to, żeby reprezentować pewne typy.

Człowiek jest rolą,

nie aktorem. Bo też gra toczy się nie o los jednostki, ale sens historii. Język niemiecki jest zainteresowany nie tyle człowiekiem, co dziejami. Nawet jeśli wrzuca w centrum opowieści, jakie wykorzystuje do swoich wyższych celów osoby przeciętne, niecharakteryzujące się niczym szczególnym, aktorów bez przydziału, tytułowego człowieka bez właściwości, albo jego niedalekiego kuzyna, Hansa Castorpa, to właśnie po to, żeby na taflach czystego, nieskażonego maźnięciami charakteru czy osobowości lustra tym wyraźniej odbiły się zagadnienia i problemy krążącego wokół nich świata.

Niemiecki mówi to, od końca XIX do pierwszych dekad XX wieku o nadchodzącej nad Europę burzy, jej źródłach i możliwych konsekwencjach. Zawsze z tą samą dykcją: tylko ja mogę to powiedzieć, znaleźć odpowiednie słowa. Biorę więc w ten sposób na siebie część winy, może nawet całkiem sporą. Ale cóż, czy beze mnie bylibyście w stanie pojąć cokolwiek z tego, co się dookoła was dzieje? Kto rozumie sens dziejów, ten nie może milczeć. Nawet jeżeli to oznacza, że sam ugnie się pod ich ciężarem.

Tylko dla polskiego nie potrafiłem odnaleźć odpowiedniej formy; gatunku, w jakim byłby on całkowicie i wyłącznie u siebie. Aż w końcu, zaledwie kilka miesięcy temu, w Stratfordzie stanął postument upamiętniający Jana Kochanowskiego. Pierwszego człowieka, który nie tylko pisał po polsku, ale z głębi, z wewnętrznej świadomości powołania, jakie pisane jest naszemu językowi. Żyjącego w czasie, kiedy te sprawy właśnie się ustalały. Gdy Hiszpania miała Cervantesa, a Anglia – Szekspira. Europa budziła się z pięknego, łacińskiego snu i wstawała na jawie narodowych języków. Figura przedstawiająca Kochanowskiego podczas modlitwy. Jedynemu gatunkowi, w jakim może się odnaleźć, rozgościć i poczuć pełnię swoich sił polszczyzna. To przecież takie oczywiste. Pisane nam jeszcze na długo przed Kochanowskim. Historycy nie mają wątpliwości, że jedną z pierwszych ksiązek, jaka znalazła się na polskich ziemiach, u samego początku naszej państwowości, był przywieziony przez benedyktyńskich misjonarzy Psalterz. A naszym pierwszym hymnem – jeszcze zanim na dobre taka instytucja zaczęła w ogóle istnieć – także była modlitwa, „Bogurodzica”. (Na marginesie, czy potraficie sobie państwo wyobrazić, że wciąż pełni ona tę rolę? I że rozbrzmiewa na wypełnionym po brzegi kibicami Stadionie Narodowym?)

Modlitwa była z polskim językiem od zawsze, ale musiała się doczekać Kochanowskiego, żeby zmówił ją dla naszej literatury. Odnalazł w niej powołanie polszczyzny. Nie tylko w psalmach, których parafraza jego autorstwa nadała głębokość i rytm rodzącej się polszczyźnie (i kształtowała jej rozwój, w kolejnych tego typu próbach, choćby u Staffa i Miłosza), ale przede wszystkim w Trenach. To do nich odwołuje się stojący w Stratfordzie postument. Kochanowski ma tam zadartą do góry głowę, usta otwarte w okrzyku rozpacz, jedną rękę bezradnie opuszczoną, a w dłoni drugiej ściska lalkę, pamiątkę po zmarłej córce.

Ten wrzask Kochanowskiego już zawsze będzie się odbijał echem w polskiej literaturze. Protest, który zamiast w stronę buntu prowadzi do pokory. Ta ostatnia z kolei nie jest rezygnacją, ale wspięciem się na wyższy poziom samoświadomości. Autora i języka, którym się posługuje. Duszy ich obydwu. Dzięki tym ubranym w formę trenów krzykom Kochanowskiego polszczyzna pulsuje niezgodą i mistyką równocześnie. To tam jest najbardziej u siebie. Podąża szlakiem tych dwóch, nawet jeśli prowadzi ją to poza granice ortodoksji, jak u romantycznych wieszczów. Przybiera teologiczną głębię nawet w erotykach Leśmiana. Nigdy do końca nie osiada na mieliznach nihilizmu, jeśli protestuje, jak u Różewicza i innych przytłoczonych XX wiekiem pisarzy, to zawsze domaga się odpowiedzi i zrozumienia. Modlitwą, wielką litanią zmawianą w historycznych kostiumach była Sienkiewiczowska Trylogia. Gra w niej melodia tego samego buntu wobec świata i lokowanej poza światem nadziei. Nawet Rymkiewicz, tak bardzo odległy od chrześcijaństwa, kiedy obcuje z nicością, to zamiast dać się jej wchłonąć, zaczyna się do niej modlić. I choćby tego nie chciał, tak naprawdę adresuje swoje słowa do Tego, który znajduje się ponad jej ciemną mgłą. W końcu pisze po polsku.

*Nigdy nie ma złego momentu
na odkrycie swojego
powołania. Ale dla
polszczyzny nie ma
właściwszego niż chwila
obecna*

Gatunkiem języka
polskiego jest więc
modlitwa, ale tylko
żarliwa.
Przytłoczona
doprowadzającymi
do rozpaczki
okolicznościami;
świadoma

bezradności tego, kto ją zanosi. Modlitwa przeistaczająca się we

wrzask, jak w figurze Kochanowskiego, ale potrafiąca też milczeć, w oczekiwaniu na udzielenie Łaski. To wszystko oznacza, że polska literatura może odpuścić sobie lęk przed końcem słowa pisanego, nie śledzić statystyk pokazujących spadek czytelnictwa. Jej najważniejszy Czytelnik uważnie śledzi każdy krok stawiany przez polski język. Nie umknie Mu żaden przecinek.

Nigdy nie ma złego momentu na odkrycie swojego powołania. Ale dla polszczyzny nie ma właściwszego niż chwila obecna. Czas, w którym każdy wytwór ludzkiej kreatywności może zostać podrobiony i przewyższony w swojej doskonałości przez technologię. Gdy ostatnim, prawdziwie ludzkim i tylko dla człowieka zarezerwowanym działaniem jest akt modlitwy. Pisania, przyznającego się do swej bezradności i w poczuciu własnej nicości odnajdującego nieskończone pokłady energii, w najgłębszym zwątpieniu – nieskończony sens. Tego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary, za dobrodziejstwa, w których nie masz miary.

Ciąg dalszy nastąpi.

Jan Maciejewski